

Sławomir Tomasz Roch  
[rycerzniebieski@wp.pl](mailto:rycerzniebieski@wp.pl)

## **WSPOMNIENIA CZESŁAWY ROCH Z D. RUSIECKA Z KOLONII TERESIN W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1940 – 1946**

Nazywam się Czesława Roch, mam 69 lat, mieszkam we wsi Mieniany 26, gmina Hrubieszów, powiat Hrubieszów, woj. Lubelskie. Urodziłam się 07 lutego 1935 r. na kolonii polskiej Teresin, gmina Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tata miał na imię Leonard Rusiecki, jego rodzice to Jan i Zofia z Kalinowskich. Moja mamusia to Helena Rusiecka z domu Roch, ur. w roku 1916. Jej rodzice to Władysław i Stanisława z domu Gronowicz. Niestety gdy moja mama Helena miała zaledwie dwa latka jej mamusia Stanisława zmarła na tyfus i została pochowana na cmentarzu w Swojczowie. Wtedy Władysław Roch wziął sobie za żonę młodszą siostrę Staszki Amelię Gronowicz i to ona właściwie wychowywała moją mamę Helenę i drugą siostrę Kazimierę, która była starsza, była z roku 1914. Dziadek Władysław i babcia Stanisława Roch mieli jeszcze czworo innych dzieci, ale wszystkie pomarły jeszcze jako niemowlaki i zostały pochowane na cmentarzu w Swojczowie. W naszych czasach nie było szpitali i dzieci odbierały przygotowane do tego kobiety, takie akuszerki, potocznie zwane „babki”. Jeśli dziecko było słabe, zaraz „chrzcili” je wodą, stąd ja rozumiem, że jeśli zostały ochrzczone przed śmiercią to dziś są to nasze małe aniołki rodzinne tam w niebie. Moja mama Helena miała troje rodzeństwa, które urodziła Amelia Roch, w tym najstarszy Tadeusz Roch, prawdopodobnie z roku 1920, potem był Roman z roku 1922 i trzecia urodziła się Zosia, chyba w roku 1927. Warto jeszcze tylko dodać, że Staszka i Amelka miały jeszcze dwie siostry rodzone, były to Michalina, która wyszła za mąż za Polaka Moniaka oraz druga za Polaka Życzko.

### **MOJE LATA BEZTROSKE**

Byłam dzieckiem pierwszym i najstarszym, w 1938 r. urodził mi się braciszek Ryszard, niestety zmarł gdy miał tylko sześć tygodni, nie pamiętam tego ale wiem, że pochowano go na cmentarzu w Swojczowie. W roku 1940 urodził się Piotr, a dwa lata później Roman. Sakrament Chrztu Świętego otrzymałam w kościele parafialnym Narodzenia NMP w Swojczowie, moi rodzice chrzestni to Kazimiera Brzezicka z d. Roch i Stanisław Rusiecki. W wyniku późniejszej zawieruchy wojennej i zburzenia naszego kościoła w Swojczowie przez Ukraińców w sierpniu 1943 r., po dramatycznej i wymuszonej ucieczce naszej rodziny na Zamojszczyznę w roku 1944, moja I Komunia Święta miała już miejsce w Horodle nad Bugiem w kościele pw. św. Jacka i Matki Bożej Różańcowej. To wydarzyło się jednak za lat kilka, póki co byłam dzieckiem bardzo szczęśliwym i można powiedzieć beztroskim, choć moje dzieciństwo przypada już na lata okupacji niemieckiej.

Pamiętam bardzo dobrze nasze rodzinne święta na Teresinie, a już najbardziej święta Wielkanocne. Przychodziła do nas w te dni z Zastawia w Kohylnie babcia Amelia Roch i pisała pisanki, bardzo chciałam jej pomóc, ale zawsze coś nabroiłam. W domu było w tych dniach dużo pracy, rodzice bardzo starali się, by nam niczego nie brakowało. Na nabożeństwo jechaliśmy do Swojczowa, w samo południe bowiem

na Rezurekcję, to dla nas dzieci było jeszcze za trudne. Ostatnie święta Wielkanocne 1943 r. upływały już w charakterze smutku, a nawet łez, czasy były napięte, niepewne i nie było już z nami Romana Rocha, którego w roku 1942 zabrali na przymusowe roboty do III Rzeszy. Babacia Amelia nie zapominała o nim, bardzo go żałowała i posyłała mu paczki żywnościowe, o dziwo mógł nawet do nas napisać i korzystał z tego posyłając nam kartki z Niemiec. Wracam jednak do mego dzieciństwa, bo i ten epizod był nieco później.

Choć na Teresinie nie brakowało dzieci byłam jeszcze mała, dlatego właściwie nigdzie się nie pałętałam. Ale miałam swoją ulubioną koleżankę, to była Polka z Teresina Rozalia Bojko i z nią bawiłam się dość często. Co prawda mieszkała daleko, niemal 2 km od mojego domu, ale ja bywałam u mojej cioci Kazimieri Brzezickiej z d. Roch, a Rozalia mieszkała niedaleko. Ciocia Kazimiera miała córeczkę Halinkę urodzoną około 1939 r., a rodzona siostra jej męża Jana, która mieszkała przez miedzę miała troje małych dzieci, było więc z kim się bawić. Pamiętam, że razem robiliśmy niekiedy niemalą grandę. Najwięcej czasu jednak poświęcał nam zawsze tata Leonard, który bardzo nas lubił i chętnie z nami baraszkował. W tym czasie w naszym domu często przebywali Romek i Tadeusz Roch, przychodzili do nas w goście z Kohylna, a gdy wracali do siebie, często zabierali mnie ze sobą. Lubiałam chodzić do mojej babci Amelii, poświęcała mi bowiem wiele czasu, zabawiała mnie i co najważniejsze, czułam że bardzo mnie kocha.

Zastawie to były trzy małe domki jednoizbowe, pobudowane z drzewa, były kryte słomą, w środku nie było nawet podłogi. Stały stosunkowo blisko siebie, mojej babci był ten środkowy. Zaraz obok były zabudowania gospodarcze, ogrody, łąka i naprawdę duży staw. Rosło tam dużo oczeretów, kumkały żaby i co by nie powiedzieć ale chór to Rochy mieli pierwszorzędnym. Oczywiście jako dziecko czułam się w takiej scenerii wspaniale. Woda tam była czysta i głęboka ale nie wiem czy były tam ryby, zapewne tak. A ileż tam gnieździło się przeróżnego ptactwa: kaczkę, bociany, kuropatwy, ciągnęło tam jak do rajskiego ogrodu. Babacia Amelia surowa jednak wzbraniała nam tam chodzić, bała się bowiem, że się nieopatrznie potopimy, grunt był bowiem miejscami grząski. Siłą rzeczy najczęściej przebywałam w chacie z babcią, był tam duży murowany i wygodny piec, zapamiętałam go dobrze bowiem lubiałam sobie tam wygodnie poleżeć. Gdy się nagrzał, było tam bardzo przyjemnie. Do babci Amelki przychodziła także Nastazia Roch, była już panią i chętnie zabierała mnie do swojego domu. I choć byłam tam wiele razy to dziś, nie wiele pamiętam, może także dlatego, że nie było to dla mnie już takie ważne. Jedno jest pewne, że i ten dom niczym właściwie nie różnił się od domu mojej babuni. Najmniej bywałam w domu Grzegorza, a to dlatego, że jak to w życiu bywa niemal wszędzie i tam zdarzały się zatargi, z których rodziły się następnie poróżnienia i dąsy. Co ciekawe jednak, panowała tam pewna zdrowa i godna polecenia zasada: nawet jeśli starsi o coś się boczyli, to dzieci miały nakazane żyć w jak najlepszej zgodzie. Dlatego mimo tego i owego, żyliśmy jak jedna wielka rodzina. Poznałam więc dobrze Marysię i Wacka, to były bliźnięta i dobrze nam się razem bawiło. Dużo starsza od nich była Janina ale ona była jakaś chora.

Najbardziej jednak bliska była mi Zosia, która z racji bliskiego pokrewieństwa bywała w naszym domu na Teresinie najczęściej. Szczerze mówiąc byłam bardzo zazdrosna o jej piękne, jasne włosy, ależ one były długie i grube. Nie będzie w tym wcale przesady jeśli powiem, że były wprost cudowne. Dobrze przy tym, że wtedy nie wiedziałam jeszcze ile to trzeba trudu i zachodu, aby takie włosy mieć i pielęgnować, bo nie wiem czy aż tak, by mi się wtedy podobały. Zosia miała rzeczywiście piękny

głos, a niemal stale z niego korzystała. Nie było to jednak dla nas wcale uciążliwe, wprost przeciwnie, jej śpiew był tak wdzięczny i delikatny, że doprawdy trudno się było oderwać. Piosenki Zosi najczęściej opiewały jakieś wydarzenia, mniej lub więcej radosne bądź smutne, a słowa, bardzo ciekawe, trafiały nam do serc i potrafiły wzruszyć niekiedy do łez. Ona po prostu miała talent i co najważniejsze umiała z niego skorzystać, podzielić się innymi, to była nasza młoda artystka. Zawsze wesoła, rozbawiona, wprost szczęśliwa, ileż ja z nią się wybawiłam i w domu i na Zastawiu. A jakże szczerze kochała swoją mamę Amelię, właściwie nie odstępowała jej nawet na krok i pewnie można o nich powiedzieć: papuszki nierozłączki. Była osobą miłą nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich i nic w tym dziwnego, że kochali ją właściwie wszyscy. Dlatego też tak dobrze utrwaliła się w naszej pamięci.

W między czasie zaczęła się okrutna i przerażająca w swych rozmiarach wojna, czas więc niezbyt stosowny na przyjęcia i radości ale nie u nas, na głębokiej, spokojnej wsi wołyńskiej. Tu jak widać nie wiele się zmieniło i wszyscy mieli nadzieję, że tak będzie już do końca dlatego byli młodzi i zakochani, którzy nie wahali się zawrzeć związku małżeńskiego. Pamiętam jedno takie wesele kiedy żenił się Tadeusz Roch z Rosjanką, wdową po sowieckim oficerze. Ślub odbył się w Kościele w Swojczowie, a przyjęcie było w domu babci Amelii. Wśród bardzo wielu gości byłam również i ja z rodzicami. Była nawet jakaś orkiestra ale mało mnie to wtedy interesowało, gdyż zaprzętały mnie zabawy z dziećmi.

#### NIEUCHRONNIE NARASTAŁ W NAS LĘK I GROZA

Obraz strasznej i belitosnej wojny wciskał się jednak do naszych dziecinnych, niwinnych serc wszystkimi zmysłami. Zdarzały się bowiem coraz bardziej okropne zabójstwa, niewiele z tego pamiętam, bo wciąż byłam mała, a rodzice chronili nas od tego jak tylko mogli. Nie byli już jednak w stanie zapobiec temu, bym posłyszała o zamordowaniu, ze szczególnym okrucieństwem Polaka Władysława Nowaczyńskiego z kolonii polskiej Augustów. Pamiętam bardzo dobrze, że tego wieczoru nakazali iść szybko spać, więc poszłam ale nie trwało to długo bowiem zaniedługi czas **przyszedł tatuś Leonard i nakazał, abym szybko wstała. A ja choć miałam tylko osiem latek mówię do niego: „Co już przyszli nas zabić?”** Odpowiedział mi wtedy że nie, potem wziął na ręce Piotra, mamusia Helena Romcia i wszyscy udaliśmy się do lasu, który był całkiem niedaleko, taki mały lasek w polu. Spaliśmy tam do rana, a ponieważ noce były ciepłe, lipcowe, nie było to jeszcze dla nas specjalnie uciążliwe.

Rano wróciliśmy do domu, okazało się że ktoś był u nas tej nocy w domu, bowiem mieszkanie zastaliśmy zdemolowane. Z tą chwilą praca już się nas nie trzymała, a zewsząd namawiano nas do ucieczki, ale tatuś miał broń i nie chciał uciekać. Płakał i bardzo to przeżywał, a w końcu powiedział: „*Zabiją mnie jednego, ale reszta z was przeżyje!*” W żadnym wypadku nie chciał dać się namówić do ucieczki, ale zarazem rozpaczał nad naszym położeniem. Nasz tato był dobrym człowiekiem, odważnym, gotowym walczyć w naszej obronie, a zarazem czułym i opiekuńczym. Właśnie wtedy nadszedł dziadzio Jan Rusiecki i na początku prosił tatusia, aby uchodził ze swoją rodziną, ale kiedy to nie poskutkowało, zaczął się na niego dosłownie wydzierać. Mimo wszystko nie uciekliśmy, ale gdy przyszła noc wszyscy udaliśmy się do pobliskiego lasu. Tam jedni czuwali, a inni spali, padał deszcz. Rano dziadzio Jan udał się na Teresin i długo go nie było, wtedy poszła za nim babcia Zofia, po jakimś czasie wróciła i już razem wróciliśmy do domu na Teresin. Około południa jeszcze raz zebrała się cała nasza duża rodzina oraz rodzina rodzonej siostry Jana t.j. Heleny Wawrynowicz, w tym mąż Jan i dzieci: Stanisława, Wacława, Antonina, Józef i Danuta. Mąż Staszki Władysław Wiśniewski i Wacławcy

Kazimierz Bortnowski. Jeszcze tego samego dnia przed południem wszyscyśmy uciekli do miasta Włodzimierz Woł.

W połowie drogi babcia Zofia zatrzymała furmanki i widząc tyle ludzi zdecydowała się wrócić po naszą krowę, a my pojechaliśmy dalej. Jak się potem okazało prowadziła już krowę do miasta, ale złapali ją Ukraińcy, zaczęła się tłumaczyć, że ona nie ucieka, ale prowadzi swoją krowę do byka. W tej sytuacji puścili ją i już na wieczór była z nami w mieście z krową. W tym samym czasie tatuś Leonard i dziadzio Jan znaleźli na ulicy Kolejowej, przy samych torach magazyn piekarni. To było nasze schronienie przez czas najbliższy, właściwie aż do wiosny następnego roku. Jednak już kilka tygodni później, nasz tatuś który nie chciał siedzieć z założonymi rękoma, bezczynnie, gdy wokół działy się tak straszne rzeczy, wstąpił do polskiej policji we Włodzimierzu Woł.. Było ich dziesięciu, a nad nimi pieczę sprawował jeden Niemiec. Takich polskich placówek wokół miasta powstało wiele, nasz tatuś dostał przydział na Cegielnię, ok. trzech km na wschód od Włodzimierza Woł.. Żołnierze ci chronili nie tylko ludność polską przed makabryczną śmiercią, ale organizowali tzw. wypadły w teren, celem zdobycia potrzebnej do przeżycia żywności i innych środków.

#### BOLESNA KARTA NASZEJ RODZINY

Nasza udana ucieczka nie była ewenementem bowiem wielu ludzi, tak jak my uciekło do miasta. Ale już po kilku dniach na ulicach miasta pojawili się Ukraińcy, którzy spotkawszy naszych Teresiaków i nie tylko, namawiali gorąco aby wracać do swoich domów. Argumentowali słusznie, że tam wszystko zostało, cały dorobek życia, wszystko do życia jest, a tu w mieście głód panuje. Oczywiście zapewniali, że nic nikomu się nie stanie, mówili tak: *„Zgineli tylko ci co byli winni wykroczeń. A ludzie uczciwi mogą spokojnie wracać na swoje i niczego się nie obawiać. Trzeba zbierać zboże, żniwa za pasem!”* Kilka rodzin uwierzyło tej propagandzie i wrócili na naszą kolonię, w tym rodzina Topolanków. I rzeczywiście przez pewien czas było tam cicho i spokojnie, wszystko zebrali, zboże zwieźli. Niestety Ukraińcy jakby tylko na to czekali: *„zrobił murzyn swoje, można mu teraz żebra siekierą policzyć.”* Jednego, kolejnego ranka miał miejsce brutalny pogrom resztek ludności polskiej Teresina. Zginęło wielu naszych sąsiadów, choć niektórzy się uratowali i właśnie te niedobitki, różnymi drogami docierały w ciągu kilku następnych dni do miasta, informując wszem i wobec, co się wydarzyło na Teresinie. To było straszne, jeszcze dziś bardzo to wszystko przeżywam i muszę czynić wielkie wysiłki, aby się przemóc i spokojnie o tym opowiadać.

Z naszej rodziny ocaleli Jan Brzezicki lat około 35 i jego rodzona siostra Stanisława lat około 30. Ponieważ wiedzieli gdzie się zatrzymaliśmy w mieście, przyszli wprost do nas i jak tylko trochę do siebie przyszli, zaczęli opowiadać co tam przeżyli. Jan był załamany, wprost zrozpaczony, z płaczem opowiadał swoją wielką tragedię życia, mówił tak: *„O świecie już nie spałem, gdy nagle zauważyłem nadchodzących Ukraińców, w rękach mieli siekiery. Nie miałem wątpliwości, że to rezuni i oknem skoczyłem na zewnątrz. W tym momencie nie byłem już w stanie pomóc mojej żonie Kazimierze oraz moim dzieciom. Zostali biedaki w domu, a ja ukryłem się w pobliskich krzakach. Żona jednak też coś musiała zmiarkować bowiem po chwili zobaczyłem jak ucieka z naszą córeczką Halinką do małego lasku, który był niedaleko. Niestety zauważyli to także zbrodniarze i zaczęli ją gonić, dopadli ją już w samym lasku i z miejsca zaczęli mordować. Żonę przewrócił na ziemię i nożem rozciął jej brzuch, wyrywając z niej 7 – miesięczny płód i porzucając obok. Po tym ohydny*

*czynnie, dobili ją siekierą. Teraz przyszła kolej na Halinkę, ją też zarąbali siekierą. To wszystko działo się na moich oczach, myślałem że oszaleję ale nie mogłem im pomóc, gdyż napastników było trzech, a ja sam tylko i w dodatku bez broni. Jeszcze jakiś czas siedziałem w krzakach, a gdy się ściemniło, znanymi sobie drogami, przedarłem się już bez większych niespodzianek do miasta.”*

Jan Brzezicki przeżył wojnę i wyjechał do Polski, gdzie na stałe osiadł we wsi Kobló koło Hrubieszowa. Jest mi także wiadome, że ożenił się po raz drugi z jakąś wdową i jeszcze miał syna. Niekiedy nawet przyjeżdżał do nas na Mieniany ale i to się szybko skończyło, gdyż moja mama Helena miała do niego serdeczny żal. Obwiniła go bowiem za śmierć swojej jedynej rodzonej siostry Kazimiery. I chyba miała w tym trochę racji bowiem mało brakowało, a biedaczki by się uratowały. Było to mianowicie tak: kiedy jeszcze było w miarę spokojnie, choć tu i ówdzie ginęli już ludzie, przed dom Brzezickich zajechał wóz pełen członków rodziny polskiej Moniaków. Do domu Kazi weszła jej ciocia Michalina i zaczęła ją i męża gorąco namawiać, aby już nie czekali ale uciekali z nimi do miasta, póki jeszcze w ogóle jest to możliwe. **Kazimiera dała się przekonać i bardzo namawiała Jana, aby zaraz uciekali, miała już widać złe przeczucia, ale jej mąż tak jej odpowiedział: „Siadaj na miotłę i jedź za ciocią!”** W tej sytuacji Kazia z płaczem i bólem serca ale została, nie chciała opuścić męża i poddała się jego woli. Postąpiła więc tak, jak zapewne dyktowało jej sumienie, poddała się w posłuszeństwie woli męża, który winien być przecież głową rodziny. Tym bardziej, że był to człowiek narwisty i wielce stanowczy. Potem stało się tak jak się stało, a tymczasem Moniaki przeżyli i nawet po wojnie spotkaliśmy się. Okazało się, że na stałe osiedli w Rejowcu, niedaleko cukrowni.

Jak już wspomniałam drugą osobą, która cudem niemal ocalała z tej rzezi była Stanisława, opowiadała nam więc tak: *„Był napad na mój dom na Teresinie. To byli Ukraińcy z nożami i siekierami. Z domu zabrali mojego męża Stanisława i utopili w studni, a trójkę moich dzieci żywcem zakopali w lesie, w brzezinkach na wyrębie. Wszystko widziałam na własne oczy bowiem zdołałam się ukryć wcześniej na skraju lasu. Siedziałam tam do wieczora, a potem udałam się na to miejsce gdzie na zawsze zostały moje kochane dziecięta. O zgrozo, gdy tam przyszłam, ujrzałam jeszcze ruszającą się ziemię, jeszcze konały, a ja nie mogłam im pomóc. W nocy przeszłam szczęśliwie do miasta.”* Staszka po wojnie osiadła we wsi Strzyżów koło Horodła i następne lata żyła już samotnie. Niekiedy razem z mamą odwiedzałyśmy ją, a ona opowiadała wtedy to i owo ze swojego życia. Po pewnym czasie wyjechała do Ameryki. Oczywiście tych, którzy ocaleli było znacznie więcej, nasza rodzina spotykała ich często na ulicach Włodzimierza, w kościele Farnym lub na cmentarzu. Ale o tym dużo napisały już moje ciocie Janina, Adela i Halinka więc nie widzę potrzeby, abym jeszcze raz o tym mówiła.

#### OKRUTNY MORD NA ZASTAWIU

Jeszcze tego samego dnia co Jan i Staszka do naszego miejsca zamieszkania, przyszli też Mietek i Tadeusz Rochy. Oni również byli mocno załamani bowiem na Zastawie napadli Ukraińcy i pomordowali niektórych z naszej rodziny. Gdy pytaliśmy ich o tamte wydarzenia, opowiadali jeden przez drugiego tak: „Tadeusz był ukryty tej strasznej nocy w stodole ojca, miał tam tajemny schowek między ścianą a snopkami, z widokiem przez szpary na całe podwórkó oraz domy Grześka i swój. Natomiast Mietek schowany był w ogrodzie w kapuście, bliżej stawu ale i on miał dobre widzenie na to co się działo na podwórzu ojca i stryjenki. To była spokojna i sierpniowa noc, nic nie zapowiadało tej tragedii, która miała się za chwilę wydarzyć.

*W pewnym momencie usłyszeliśmy głosy Ukraińców i straszny krzyk dzieci, odruchowo popatrzyliśmy w tamtą stronę i ze zgrozy oniemieliśmy. Na naszych oczach Ukraińcy siekierami bestialsko rąbali właśnie nasze kochane bliźnięta Marysię i Wacka. Usiłowała je bronić mamusia Stanisława, ale jeden z Ukraińców przewrócił ją i od razu zaczął rąbać w kawalki. Za chwilę zabili tak samo Janinę i pozostał tylko tatuś Grzegorz. Do niego bandyci powiedzieli tak: „**Za to żeś sprowadził swoją rodzinę z miasta do domu, dostaniesz lekką śmierć!**” I już po chwili dobrodusznie powiesili go na jabłonce, tuż obok domu. Chłopcy strasznie to przeżywali ale nie czuli się na siłach pomóc tym biedakom. Tymczasem bandziory przeszli do domu Amelki ale tam nikogo nie znaleźli, więc zaczęli przeszukiwać zabudowania i znaleźli ją, jak była ukryta w szopie, przybudowanej do stodoły. Razem z mamą była i Zosia, obie zaraz wyprowadzili i pognali na łąkę, właśnie w kierunku miejsca ukrycia Miecia. Po drodze mamusia prosiła ich tak gorąco: „**Nie zabijajcie nas, bo my jesteśmy niewinne i nic nikomu złego nie uczyniły!**” Ale oni oczywiście tego wcale nie słuchali, tylko zaczęli swoją morderczą robotę. Odeszli bowiem mały kawałek od domu i Ukrainiec, który szedł za Zosią nagle uderzył ją siekierą, a ona upadła. W tym samym czasie drugi, tak samo zarażał mamę Amelię, odcinając jej głowę. Jeszcze chwila i już ich nie było, tymczasem my pozostaliśmy jeszcze w swoich ukryciach.*

*Gdy się już wyraźnie uspokoiło, jeszcze w dzień przeszliśmy w głąb szuwarów, nad sam staw i tam siedzieliśmy już do samej nocy. Pod ukryciem ciemności przeszliśmy do stodoły naszego sąsiada Ukraińca i tam ukryliśmy się ponownie. Chcieliśmy tam przespać tę noc i udało się, tak że trochę przez te godziny przyszliśmy do siebie. **Nad ranem, jeszcze było ciemno, nerwy nam nie puszczały więc Miecio, wściekły bardzo na Ukraińców, oberwał kawałek swojego rękawa, zapalił i taki włożył w złożone zboże. Potem razem z Tadkiem nawialiśmy znów w szuwały. Za niedługi czas ogień objął całą stodołę i dwie następne. Łuna była taka, że nie sposób było uciekać, gdyż wszystko było widać, niemal jak w biały dzień. Wiedzieliśmy jednak, że tu zostać dłużej nie możemy, dlatego czekaliśmy tylko sposobnej chwili, aby dać nogę do miasta. Nadarzyła się w końcu okazja i teraz jesteśmy już tu, u was. Uciekliśmy wprost z Zastawia, a raczej tego co po nim zostało.**”*

#### **W SZEREGACH 27 WOŁYŃSKIEJ DP AK**

Tadeusz i Mieczysław nie chcieli się u nas zatrzymać, choć mogli, woleli poszukać coś swojego, dlatego gdy tylko trochę się wzmocnili odeszli w swoją drogę. Za jakiś czas ktoś ich poinformował, że w mieście zorganizowana jest polska konspiracja i że chętnie przyjmują ochotników. Po tym co przeszli, długo się nie zastanawiali i zaraz nawiązali stosowne kontakty. Tadzik został przyjęty z miejsca i został pomocnikiem kucharza. A Mietek był za młody, brakowało mu dwa lata, dlatego dostał odpowiedź odmowną. Nie dał jednak za wygraną, poszedł jeszcze raz i tym razem nakłamał, że jest starszy. Udało mu się i został łącznikiem, dostał konia i woził ważne meldunki w tą i z powrotem. W pewnym momencie cała ta brygada, na jeden sygnał przeniosła się na Bielin, gdzie jak potem się dowiedzieliśmy, poczęła się formować nasza silna i słynna swoimi późniejszymi, bohaterskimi czynami 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej. Obaj oczywiście wkrótce znaleźli się w jej szeregach i przebywali tam całe miesiące, aż do owego dnia kiedy hitlerowcy mocno zaczęli bombardować Bielin i okolice. To było już na wiosnę 1944 r. Właśnie podczas pierwszego bombardowania zginął Tadeusz, a Mietek ocalał dosłownie cudem. Co prawda ogłuszyło go, ale gdy się ocknął szybko poznał, że jest dosłownie przywalony przez trupy swoich kolegów i zdołał się wygramolić. Dalej

opowiadał mi więc tak: „Ciała Tadka nie znalazłem, ani nawet nie próbowałem szukać, zapewne gdzieś tam na Bielinie został już na zawsze. Ja tymczasem przeszedłem z naszą 27 WDP niemal cały jej bojowy szlak.

*W końcu trafiłem na Prypeć, a przeprawa przez tę rzekę to było najprawdziwsze piekło, tam również poległo wielu moich serdecznych kolegów, ja sam znów miałem szczęście. Opatrzność Boża mnie nie opuszczała. Po drugiej stronie frontu zaopiekowali się nami Sowieci i zostaliśmy wcieleni do Ludowego Wojska Polskiego, w jego szeregach walczyłem na froncie jeszcze przez rok czasu. Kilka miesięcy stałem też ze swoją jednostką w zburzonej Warszawie, nie muszę dodawać jakże przykry był to dla nas wszystkich widok.”*

Po wojnie Mietek osiadł na stałe we wsi Kopyłów koło Horodła nad Bugiem i ożenił się z Heleną. Urodziło im się trzy piękne córki: Marysia, Anna i Weronika. Byliśmy cały czas w kontakcie i nawet od czasu do czasu nawzajem się odwiedzaliśmy. Ja w 1953 r. wyszłam za mąż za Bronisława Ostasza ze wsi Majdan Nepryski na Zamojszczyźnie i zamieszkaliśmy w Mienianach razem z mamą Heleną, która była już wdową bowiem nasz tatuś zginął na froncie w walce z Niemcami, już na Ziemiach Odzyskanych. Razem z mężem wychowaliśmy sześcioro dzieci, w tym: Teresa, Wanda, Ryszard, Halina, Bożena i Danusia. Mój mąż Bronisław pomarł 10 sierpnia 1990 r. i został pochowany we wsi Czerniczyn.

Wieloletnia przyjaźń z Miciem Roch okazała czymś więcej, widać coś między nami zaiskrzyło i gdy po latach nasi współmałżonkowie pomarli, z radością wyszłam za niego po raz drugi za mąż, pamiętam że było to w roku 1992. Nasz ślub odbył się w kościele parafialnym p.w. św. Jana Chrzciciela we wsi Czerniczyn. Niestety nasza miłość nie trwała długo, gdyż męża zaatakował nowotwór złośliwy i już zaledwie 6 miesięcy później 10 stycznia 1993 r. Miciu odszedł do wieczności. Z żalem i głębokim szacunkiem pochowaliśmy go na parafialnym cmentarzu w Horodle, w tym samym grobowcu, w którym spoczęła jego pierwsza żona. A ja choć znów zostałam wdową nie czułam się sama bowiem miałam wiele dzieci i wnuków i na codzień cieszyłam się nimi bardzo. Los mnie jednak nie oszczędzał w tych latach, 08 sierpnia 1997 r. zmarła moja kochana mama Helena Rusiecka z d. Roch i pochowaliśmy ją na cmentarzu w Czerniczynie.

Nie jest mi łatwo wspominać tamte dni na Wołyniu, tamte przeżycia są bowiem wciąż bardzo trudne dla nas wszystkich, pomimo upływu tak wielu lat. Cieszę się jednak, że mogę dziś dać świadectwo prawdzie o tamtych ludziach i tych co przeżyli, ale także Tych wszystkich, którzy pozostali tam już na zawsze. To dobrze, że moje dużo starsze ciocie Janina Topolanek, Adela Roch i Halina Kozelko mogły opowiedzieć znacznie więcej i dokładniej o tamtych dniach na Wołyniu. Moje wspomnienia widzę jako wpisujące się w ich żywe świadectwo naszej rodzinnej historii. **Na pewno czuję serdeczny i głęboki żal, że doszło do tak strasznych i makabrycznych wydarzeń na Teresinie i w okolicach, na całym Wołyniu, ale jestem w stanie i chcę wybaczyć raz jeszcze tym, którzy winni są tego ludobójstwa,** także na członkach naszej najbliższej rodziny. Mam świadomość, że tylko miłość przebacząca jest w stanie zbudować coś trwałego, na czym będzie można zbudować normalne, chrześcijańskie i ogólnoludzkie odniesienia.

Przebaczyć nie znaczy jawnkowoż zapomnieć, nie można wymazać z pamięci osób tak nam bliskich, co więcej winniśmy im pamięć i modlitwę. Szczególnie Tym wszystkim, którzy do dziś nie mają własnej mogiły i Krzyża w miejscu swojego pierwotnego, złożenia, powiedzmy sobie szczerze: „rzucenia i po prostu zakopania”. Dlatego pragnę wyrazić swoją wdzięczność dla wszystkich, którzy poświęcili swój czas, zaangażowali swoje siły i talenty dla upamiętnienia losów naszej dużej

Kresowej Rodziny, w tym: rodziny Rusieckich, Rochów, Brzezickich i innych. Szczególnie dziękuję panu Sławomirowi Roch, że zadał sobie ten trud i do nas do Mienian przyjechał, ze swej strony staraliśmy się, aby niczego mu u nas w tych dniach nie brakowało, a co wiedziałam, tak jak umiałam przekazałam. Patrząc w przeszłość i widząc jak na Mieniany przybywał do mojej mamusi Heleny, a swojej siostry stryjecznej Bolesław Roch. Minęły lata mama zmarła, Bolesław Roch zmarł w Siedliskach, a oto przyjechał do nas jego wnuk Sławomir Roch mgr historii UW, aby pisać naszą rodzinną historię, mój Boże jakie to życie jest ciekawe i jakże płata nam niekiedy niespodzianki. Całym sercem zatem wspieram to dzieło i niech dobry Bóg błogosławi, aby przyniosło dobre owoce na przyszłość.

Powyższa relacja, którą osobiście opowiedziałam panu Sławomirowi Roch w naszym domu w Mienianach, od 06 do 08 listopada 2004 r., została mi przeczytana po przepisaniu, a zawarte w niej treści, potwierdzam własnoręcznym podpisem

Czesława Roch